ZDRÓJ WIELKOPOLSKIE
MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE
ROK V POZNAŃ MAJ 1935 NR. 5 (44)
Wydawca: ANDRZEJ PRĄDZYŃSKI Redaktor: MARJAN TURWID

JAN PIECHOCKI:

CZY TYLKO JEDEN MIESIĘCZNIK WIĘCEJ?

Na *brak urodzaju poetyckiego* nie mamy powodu się uskarżać. Od banalnego konwencjonalizmu do najradykalniejszych prób eksperymentatorskich znajdziesz w dziedzinie polskiego rymotwórstwa wszystko i wszystkie odcienie. Nasz urodzaj poetycki przypomina jednak rozrzutność przyrody, która szafuje nieekonomicznie miljardami nasion, aby wzeszło kilka płonek.

Poza kwestją bezwzględnej, samoistnej wartości narzuca się *problem słabego zasięgu* naszej współczesnej poezji w sferze konsumentów kultury. Być może, że oba zjawiska, tj. fakty artystyczne i fakt słabej reakcji emocjonalnej na nie, pozostają w stosunku przyczynowym, wzajemnie od siebie zależą.

Przez półki i wystawy księgarskie przelewa się lawina tomików, zapełnionych słowem poetyckiem lub, w każdym razie, słowem rymowanem na tę czy inną manierę. Jest jednak faktem niezaprzeczonym, że ta poetycka ulewa przeważnie nie dociera nawet do rodzimej gleby, wysychając niejako jeszcze w powietrzu. Przecież wśród literacko wrażliwych zastępów naszej inteligencji, a zwłaszcza młodzieży, trudno obserwatorowi stwierdzić upajanie się tą masowo produkowaną manną wierszową. Niema, jeśli chodzi o dzisiejszą poezję, ani tej wrażliwości ani tego entuzjazmu, który cechował epokę romantyczną, okres Młodej Polski, a nawet pojawienie się wierszy pierwszych „skamandrytów". Mówi się tedy, że dzisiejsza inteligencja posiada zmniejszoną skłonność i stępioną wrażliwość artystyczną. Nie chcąc powtarzać rzeczy znanych i wielokrotnie wałkowanych, nie będziemy wyliczać przyczyn — głównie socjologicznej natury — tego zjawiska.



Z Plastyki Wielkopolskiej:
H. Nostitz-Jackowski „Św. Franciszek" (ol.)

Czy jednakowoż winną tej obojętności społeczeństwa nie jest właśnie *sama poezja,* a przynajmniej w dużym stopniu? Przecież starczy, aby zjawiły się prawdziwe talenty, aby zrodziło się sugestywne piękno, a niepoetyckość epoki zamienia się wcale szybko w swoje przeciwieństwo, jak uczy n. p modernizm.

„Zjadacze chleba" byli, s‹ i będą zawsze mniejwięci sami. Przemiana ich „w aniołów" może się udać tylko wtedy, jeśli się posiada — *naprawdę* posiada — dar czynienia cudu przeobrażenia ducha. Czy współczesna poezja budzić umie głód odświętnego słowa? Czy może stać się artykułem pierwszej duchowej potrzeby.

Generalizując nieco stwierdzamy, że dzisiejsza poezja, liryka w szczególności, przypomina odległą, zewsząd oceanami okoloną wyspę, na której bujnie się krzewi las podzwrotnikowy. Znają ją nieliczni podróżnicy, amatorzy egzotyzmów, a olbrzymia reszta wie o niej tyle, ile się wie o odległej zamorskiej krainie. Przypuszczam — zapewnie słusznie — że, co stoi poza życiem duchowem społeczeństwa, co zakrawa tylko na gierkę, zabawkę, na eksperymencik albo magiczną sztuczkę, to jakby wogóle nie istniało — jest nieważne, niepotrzebne, śmieszne. A czyż

przeważna część naszej „twórczości" poetyckiej nie przypomina niepotrzebnych igraszek i rafinowanych kuglarstw, uprawianych w snobistycznym zapale?

Przy całej finezji formalnej, przypominającej tradycje rokoka, choruje liryka nasza na banalność i uwiąd treści, co tłumaczy się nietylko błahością tematów, lecz *zakłamaniem poetów, ich pustką wewnętrzną, nikłą skalą napięć emocjonalnych, brakiem istotnych przeżyć.* Tysiące małych kraterów wyrzuca potoki bezwartościowych acz błyszczących minerałów. Czekamy, aż rozewrą się otchłanie jakiegoś genjuszu — aż tryśnie gejzer kipiącego natchnieniem słowa. Genjusz jest jednak zjawiskiem samorodnem i wyjątkowem. Nie można go brać w rachubę w przewidywaniach sanacji twórczości literackiej. Wiadomo natomiast, że *talenty mogą się rozwijać przy pewnej uprawie, w pewnym bliżej dającym się określić klimacie.*

Ostatnio jesteśmy świadkami zdecydowanej próby przeczyszczenia niezdrowej atmosfery, która deformuje wzrost poetyckiej wegetacji. Wiew odrodzenia idzie na polską respublikę poetycką od mało komu znanego miasteczka. Znakomity poeta i świetny znawca najnowszej, poezji, *Stanisław Czernik,* zaczął w kwietniu br. wyadawać w *wielkopolskim Ostrzeszowie* nowy miesięcznik, *Okolicę Poetów,* mającą być „wspólnem dobrem wszystkich poetów i miłośników poezji".

Okolica Poetów ma dzięki nieujawnionemu mecenatowi zapewniony byt na przeciąg 1 roku. Jej redaktor i wydawca w następujących słowach określa *cel i charakter* swego miesięcznika: „Zamykamy się w ściśle określonej „okolicy poetów", ograniczamy się jednak naturalnym „horyzontem", nie zaś sztucznemi murami klasztorku, przeznaczonego dla małej grupki wybrańców... *Przeciwstawiając się ambicjom kapliczkowym, nie uznajemy zasady wyłączności i otwieramy „Okolicę" nietylko dla wszystkich „izmów, ale także dla wszystkich wartościowych talentów...* Cel nasz obejmuje dwie główne czynności: 1) skupianie zagadnień, 2) skupianie talentów..." (Ponkreśl. nasze.)

Programowy charakter posiada artykuł Czernika pod tyt. *Styl w liryce.* To, co autor pisze o treści i formie poezji lirycznej, wykracza poza ramy akademickich rozważań. Nie mogę referować szczegółowo myśli Czernika. Musiałbym wtedy poprostu skopjować cały artykuł, napisany zwięźle, rzeczowo, bez częstych u krytyków ozdób metaforycznych. Ograniczę się do podania kilku wyjątków o charakterze *tez, które — mojem zdaniem — mogłyby odgrywać rolę norm konstytucyjnych nowej, oczyszczonej z blichtru i zakłamania liryki polskiej.* A więc:

„Wiersz liryczny jest rodzajem introspekcji poetyckiej. Dlatego też jego *materjał treściowy ściśle zamyka się w zakresie uczuć rzeczywistych.* Jeżeli natomiast do wiersza wchodzą uczucia przedstawione tylko w roli rzeczywistych, a będące najpospolitszem zmyśleniem czyli grą słów, wiersz staje się zupełnie czemś innem, będzie raczej udawaniem liryki, quasi-liryką, zjawiskiem z pogranicza. — — —

Materjał treściowy w liryce nie może być surogatem, lecz odpowiednikiem rzeczywistych, pełnowartościowych przeżyć poety. W innych warunkach stylowa liryka powstać nie może. — — „Bujna" fantazja zazwyczaj po należytem w nią wniknięciu okazuje się plagjatem. Poeta, który nie zaznał głodu, nie potrafi napisać wiersza lirycznego na ten temat, może dać tylko wiązankę nic nie znaczących słów. *Autentyzm treści leży u podstaw stylu.* — — — Forma we właściwem rozumieniu jest do pewnego stopnia zgóry wyznaczona przez naturę treści. To będzie forma autentyczna, rzeczywista, inna u każdego poety, inna niemal w każdym jego utworze — — —" (Podkreślenia moje.)

Podałem niektóre tezy Czernika, wyłuskane z pośród argumentacji i analizy introspekcyjnej procesu twórczego. Dowodzeniom Czernika nadaje ton aksjomat: „*Autentyzm treści leży u podstaw stylu*". Tych kilka słów powinno obudzić czujność i krytycyzm wszystkich tych, którzy chcą sumiennie służyć sztuce. Nawrót do „autentyzmu treści" (czyli poprostu do szczerości i prawdy) narzuca się jako postulat, jeśli inflacja naszej liryki ma być powstrzymana. Czernik wypowiedział w swej „O. P." w gruncie rzeczy *stare i wypróbowane prawdy.* Gdyby o nich pamiętano, przestałaby nasza poezja być tropikalną wegetacją na nikomu niepotrzebnej wyspie.

W I. zeszycie naszego miesięcznika mamy wiersze Staffa, Czuchnowskiego, Czernika, Piętaka, Piechala, Bąkowskiego, Madeja, Timofiejewa, Janczerskiego, Pawła Hertza, przekłady Stanisławy Miłkowskiej-Iwańskiej oraz debjuty Alicji Iwańskiej i Bolesława Ożoga. Ciężar gatunkowy poszczególnych utworów (obok wspomnianej rozprawy krytycznej same wiersze!) różny, przeważnie jednak ponad przeciętną normę. Dużo rzeczy zgoła niecodziennych, więcej niż niebanalnych, n. p. utwór Piechala („W drodze").

Kilkanaście stronnic jednego zeszytu ostrzeszowskiej Okolicy Poetów zawiera dużo witamin poezji. *Ufamy, że pismo będzie nietylko skupiało talenty, lecz — co może ważniejsze jeszcze — da łaknącym treściwego poetyckiego słowa upragniony pokarm, autentyczny nektar i ambrozję.*

STANISŁAW HELSZTYŃSKI:

NAJWCZEŚNIEJSZA NIEZNANA AUTOBIOGRAFJA ST. PRZYBYSZEWSKIEGO

Autobiografij Przybyszewskiego jest kilka, drukowano je po czasopismach, autor przedrukowywał je z warjantami po książkach jako Wstępy i Przedmowy. Dwie ukazały się po śmierci pisarza.

Niniejsza próba, pierwsza w porządku chronologicznym, pochodzi z r. 1896, z listu do Zenona Miriama-Przesmyckiego. Przynosi sporo szczegółów nowych do życia poety i dość szczegółową bibljografję prac drukowanych do r. 1896. Szwankuje ona coprawda fatalnie, bo Przybyszewski, zawsze w niezgodzie z datami żyjący, poplątał lata i poprzesuwał genezę dzieł o jeden rok, co dziwniejsza o rok opóźnił datę poznania ukochanej żony Dagny.

W Przypisach rektyfikuję pomyłki Przybyszewskiego. Tekst poniższy ukazuje się w „Wiciach" jako pierwodruk.

Warszawa, luty 1935.

TEKST LISTU

Do Zenona Miriam-Przesmyckiego
w Warszawie

Drogi Panie.

Karta Pańska sprawiła mi niawypowiedzianie wielką radość. Nie wiem, jak Panu dziękować za tyle serca, jakiem Pan moje przykrości dzielisz. Teraz myślę, że się ostatecznie wszystko skończyło[1]), choć mi na razie trudno, całkiem się uspokoić i do równowagi przyjść.

W Berlinie będę musiał jeszcze dwa miesiące pozostać. Więzienie[2]) i całe to zajście wyczerpało środki moje dotyla, że nie mogę ani o tem myśleć, z tego wściekłego, obrzydliwego Berlina wyjechać.

Zresztą myślę, że będę mógł w tym czasie pracować, a wtedy ostatecznie wszystko jedno, gdzie przebywam.

Prosiłeś mnie Pan o szczegóły biograficzne. Nie wiele ich na zewnątrz: Urodziłem się 6[3]) maja 1868 w małej wsi Łojewie pod Inowrocławiem, tuż nad Gopłem w pobliżu Kruświcy. Przypadek chciał, że Łojewo zaledwie o pół mili odległe

STANISŁAW CZERNIK:

PRZYGOTOWANIE PŁUGA

Pług stalowych wyrazów użycza,
Gdy szorstka ręka rolnika
Próbuje ostrza,
Lub zgiętym palcem
Rozciera narosłą rdzę.

Ze stali do słów przenika
Spokojnej woli rdzeń:
— Gotowy pług!
I to jest pierwsza, najprostsza,
Dwusłowa pieśń rolnicza.

Obtarcia pługa, jak umycie rąk
Przed pracą, w której tkwi czystość.
Nad ostrzem zawiśnie kciuk,
Nierozłupany strąk:
Pozna naskórek
Siłę ostrości srebrzystą.
— Gotowy pług!
Od ziemi słowo podnosi się wgórę.

ARCHEOLOGJA

Geografja dzieciństwa i łódka przy brzegu.
Jak książka — przypomnienie, jak obrazek — sad.
Wiśniowy gaj podpagórny.

Czytam dnie. Trochę smętnie. Lecz słoneczny wiatr
Gamę lat do pierwszego prowadzi szeregu,
Do początku — w zakątek legend,
W historję potrzaskanej urny,
Znaleziska przy sadzeniu drzew.

I oko się nachyla, i łódka nad brzegiem.
Brzeg, jak owoc strzegący starożytnych pestek.
Legenda: drzewko wrosłe w stare garnki wiejskie,
W okrągławe, gliniane trumny,
Jak toczący wieczność życia czerw.

Tak wyrosła najpiękniejsza z wisienek,
Dziewczęca „Archeologja".
Drzewko bronzu, bransolet piszczałek i surm.
W gorzkich pestkach, jak wieków załoga,
Palingeneza: bór, igliwie, szum.
Pachnie ciałem spalonego wroga
Miąższ wisienek wyrosłych z popękanych urn.

---

od wsi Szymborza, gdzie się urodził Jan Kasprowicz. Gdybym był o parę lat starszy, mógłbym sobie dziś prawdopodobnie przypominać, żem z nim razem świnie pasał. Do tego oczywiście nie przyszło, bo Kasprowicz pewno o 10 lat odemnie starszy. Ojciec mój był wiejskim nauczycielem i pochodził podobno ze zamożnej nawet bardzo zamożnej familii chłopskiej[4]), dokładnie nie wiem, bo losy i dzieje tej familii gęstą mgłą pokryte.

Matka była córką emigranta, oficera wojsk Polskich, ale, ponieważ rodzice ją rychło odumarli, więc i tu pochodzenie nieznane[5]). A więc jestem zupełnie homo novus.

Cała familja odznacza się niezwykłym talentem do muzyki i jeszcze więcej niezwykłą lekkomyślnością. Sam kocham muzykę nadewszystko, i podobno, jak przynajmniej wszyscy twierdzą, gra moja na fortepianie przechodzi originalnością i temperamentem wszystko to, com napisał.

Gimnazjum odwiedzałem w Toruniu, a następnie w Wągrówcu, małej mieścinie pod Gnieznem. Egzamin abiturjencki złożyłem na Wielkanoc 1889. Studjowałem nastąpnie rok cały architektury i historji sztuk pięknych, ale nędzne wykłady zbrzydziły mi studjum, równocześnie przemógł pociąg do nauk filozoficznych, który już od dziecka niezwykle silnie się we mnie odzywał, zapisałem się na wydziale filozoficznem[6]) i oddałem się całkiem studjum psychofiziologii. Studjowałem w Berlinie przez cztery lata, w ostatnim roku moich studii redagowałem równocześnie wskutek zupełnego braku środków do życia socjalistyczną „Gazetę Robotniczą."

1894[7]) poznałem moją żonę i od tego czasu prawie stale przebywałem w Norwegii.

To chyba wszystko.

Będąc dzieckiem pisywałem litanije i antyfony do rozmaitych świętych, rozczytywałem się namiętnie w Plutarchu w przekładzie Krasickiego, później nastąpiła nader obfita produkcja — pisałem nieskończone wiersze à la Słowacki[8]), później wszystkiego zaniechałem, a ostatnie cztery lata w gimnazjum rozczytywałem się w Buchnerach, Vogtach, Straussach no ten rodzaj rozwoju psychicznego chyba typiczny dla nas wszystkich.

W pierwszym roku w Berlinie poznałem Nietschego[9]), zrobił na mnie nader silne wrażenie — na filozofję jego zaraz od początku sceptycznie się zapatrywałem, ale porwał mnie swem „Zarathustra". W tym czasie poznałem Hanssona i to zadecydowało ostatecznie nad moją przyszłością. Od Hanssona i żony jego Laury Marholm odebrałem gorącą zachętę, pomoc i radę. Hansson gra w moich początkach literackich wogóle wielką rolę. Jego prace krytyczne „Parias", „Sensitiva amorosa" były dla mnie przedmiotem wielkiej czci. Miałem wtedy 22 lata[10]).

Hansson właściwie wprowadził mnie w literaturę nowoczesną. (Stosunek ten rozerwał dwa lata później Strindberg).

W tym czasie, a więc 92 r. powstały studja moje do „psychologie des Indywiduum" Chopin i Nietsche, a pół roku później „Ola Hansson", „Gazeta Robotnicza" już wtedy rozpoczęła mózg mój jałowić, to też prawie rok cały nic nie pisałem. Dopierą w czerwcu 94 napisałem pod wpływem bardzo silnych wrażeń „Totenmesse"[11]), tegoż samego roku „Vigilie"[12]) i essay o Edwardzie Munchu, które Pan prawdopodobnie zna.

Plan do „Homo sapiens" zarysował się dokładniej już w 92, ale trwało bardzo długo zaczem się rozrósł i wykształtował. To też dopiero w czerwcu 95[13]) napisałem „Unterwegs" drugą część „Homo sapiens." W lipcu napisałem drobnostkę, drukowaną w „Gesellschaft": Nokturno[14]). Przebija tam już plan, ale mocno spaczony, do Malstrom. W marcu 96[15]) napisałem pierwszą część do H. Sap. dotychczas jeszcze nie wydaną (wyjdzie tej jesieni): „Über Bord". W czerwcu i Lipcu tego samego roku[16]). „Im Malstrom", W Sierpniu „De profundis[17])", w październiku Essay o Vigelandzie[18]), w Listopadzie i Grudniu powieść na którą dotychczas nakładcy znaleść nie mogę: „Satans Kinder". Rok 1896[19]) był, jak Pan widzi niezwykle płodny. Prawda: zapomniałem o małym poemacie drukowanym w Musen — Almanach rok 1894: Himmel fahrt. Napisałem go dwa miesiące po Totenmesse.

To wszystko.

Przyczyny, dla których począłem pisać i piszę dalej po niemiecku Pan zna, więc się nie potrzebuję nad nimi rozwodzić. Jako człowiek jestem na wskroś Polakiem. Literatura niemiecka odrzuca chwała Bogu dzieła moje wstrętne i obce duchowi niemieckiemu, jako artysta nie odnoszę się do żadnego narodu, tylko do garstki ludzi, rozrzuconej po całej Europie, a do tej garstki można się naturalnie tylko w takim języku odzywać, który jest w całej Europie znany, niemieckim, francuskim lub angielskim. Przypadkowo znam język niemiecki najlepiej, dla tego piszę po niemiecku.

Posyłam Panu numer Gesellschaft, któregoPan nie zna. Jest tam bardzo kiepska reprodukcja bardzo dobrego portretu, który malowała bardzo uzdolniona malarka, panna Costenoble.

Ściskam serdecznie dłoń Pańską, Żona przesyła Panu serdeczne pozdrowienia

Wiernie oddany

S. Przybyszewski.

Adres na razie ten sam, co dotychczas.

Przypisy.

1) Z komplikacjami po śmierci Marty Foerder,

2) Czerwiec 96,

3) 8 Maja,

4) Z folwarku Ameryka pod Wągrowcem,

Później otoczy ją poeta aureolą szlacheckiej powstańczej, nawet męczeńskiej glorji,

5) medycznym — 1890—93,

7) na wiosnę 1893. Poeta myli się o cały rok. W błędzie brnie do końca listu,

8) Do 1000 wierszy zostało w spuściźnie rękopiśmiennej,

9) 1890,

10) 24 lat, Żnin pomyłka,

11) czerwiec 1893,

12) 1893,

13) czerwiec 1894, (Kongsvinger, Juni 1894 czytamy w samej książce),

14) Gesellschaft 1895, 8 Heft,

15) Marzec 1895,

16) 1895 (W książce: Mai, Juni, Juli, Kongsvinger, Malstrom),

17) 1895,

18) November 1895,

19) 1895.

JOLENTA BRZEZIŃSKA:

WILHELM BALLARIN

(Na marginesie wystawy w poznańskim IKS-ie.)

Niezadowolony ze wszystkiego co oglądamy artysta wyciąda gdzieś z kąta spod stosu płócien i papierów niewielkie malowidło. Nie pokazuje, rozgląda się za odpowiedniem oświetleniem, wreszcie stawia. Mała, surowa, brunatna postać madonny, rozgrzewa się w blaskach promieni słonecznych. Prostota, prawie że surowość rysunku i barwy, ascetyzm postaci nie gotyckiej a gotyckiej, w wyrazie swym niemal że średniowiecznej, wypowiada coś nieuchwytnego, nieziemskiego.

Ta madonna to zapowiedź dzisiejszego Ballarina. Artysta zdradzał zawsze silne dążenie do ekspresji. Nie poprzestawał na czysto malarskiem podchodzeniu do przedmiotu, ale szukał jego wewnętrznego wyrazu. Barwy jednak nie zaniedbywał. Rozmiłowany w niej, uważał ją za jedno z najaktualniejszych zagadnień i zdradzał w niej, jak wogóle w rozwiązywaniu zagadnień malarskich, wpływ Pautscha, którego jest uczniem. W ciągłem poszukiwaniu właściwego sposobu wypowiedzenia się ciąży silnie i chętnie ku stylizacji. Zdrowy instynkt malarski nakazuje mu powrót do studjów z natury, do elementów formy.

Ballarin wystawiał dotąd niewiele. Te kilka jednak dzieł, które zawisły na ścianach salonu, świadczyły o poważnym jego stosunku do sztuki.

Ostatnio udzielił mu gościny Żółty Salon IKS-u. Ballarin wystawił tu kompozycje akwarelowe o subtelnym kolorycie, a przewadze szlachetnie pociągniętej linji. Na pierwszym planie co do ostatniego stoi „Madonna I.". Ja nazwałabym ją „Piękną Madonną". — Nasuwa mi się tu uwaga, że Ballarin jest na najlepszej drodze do stania się mistrzem jakiegoś nowoczesnego gotyku, o ile nie poprzestanie na osiągniętych ostatnio wynikach, lub nie przejdzie w manierę, droga bowiem stylizowania, na którą obecnie znowu wstąpił, osiągając wyniki bardzo dodatnie, jest niebezpieczna. — Czyste a nikłe, skąpe zabarwienie dobrego kolorytu podkreśla i wysuwa na plan pierwszy linję stylizowaną, pewną, zdecydowaną. Nie mogę się nasycić widokiem tej madonny. Wysoka kultura formy łączy się z niemniejszą kulturą treści. Do tej madonny można się modlić. Uśmiech jej zniewala, możnaby powierzyć i bóle i radości, zrozumienie, pocieszy i rozraduje się. Madonna inteligentna.1) A może dlatego tak piękna?

Do „Madonny II." i „Św. Franciszka" nie możnaby przyczepić miana pięknych, choć w wyrazie rysunku i kolorytu nie ustępują „Madonnie I.". Subtelny srebrzysty ton nie podkreśla linji niemniej wyraźnej i ważnej. A jednak wskutek utrzymania całości w jednolitym chłodnym tonie, linja zatraca się. Malarsko wydają mi się bardziej impresjonistyczne, treściowo — silna ekspresja duchowa. Na uczuciowca powinny one raczej działać jako przedmioty kultu religijnego. Madonna trzyma na ręku dzieciątko. Tyle w jej twarzy świętego zatroskania i kłopotliwej zadumy... Malutkie ptaszątko nad główką Jezusa zdaje się śpiewać dziecinie. Ten śpiew ptasząt napełnia całego „Św. Franciszka". Miłość bije z ascetycznej postaci świętego, Miłość trzyma na jego ręku sarenkę, potulnie a ufnie garnącą się do niego, Miłość każe drugiej pokornie i cichutko wyczekiwać tego uszczęśliwienia. Ptaszki spiewają wokoło, słychać nieomal ich srebrne dzwoneczki. Sprawia to zapewne srebrzysty ton całości. Zdawałoby się, że utrzymując obraz w tak chłodnym tonie artysta nie wydobędzie ciepłoty uczucia. A jednak, maksimum treści uczuciowej zostało wydobyte, tak w „Św. Franciszku", którego należy postawić przed „Madonną II.", jak i w „Madonnie II." nie zostały tu pominięte wartości formalne jak w „Madonnie I." osiągnął Ballarin swój punkt szczytowy formy, nie pomijając pełnego wyrazu treści duchowej.

Pozostałe akwarele z tego cyklu kompozycyj stylizowanych, zdają się być wcześniejszemi etapami danego okresu twórczego. Poprzez nie zdawałoby się doszedł artysta do szczytu swoich możliwości twórczych osiągniętego w swoich świętych.

1) Szkoda że wyraz ten tak wyświechtany.

JULJAN SZPUNAR:

PRZEDSTAWIAM MŁODY TALENT

Dowiedziawszy się przypadkowo, że w Lesznie mieszka od szeregu lat, młody (ur. w 1910 w Strzałkowie) grafik i malarz zarazem, Romuald Bogaczyk, postanowiłem go odszukać, poznać się z nim i ujrzeć jego pracownię.

Niełatwo do niego się dostać

Ponura, zniszczona nietyle zębem czasu, ile ubóstwem właściciela

oficyna, przypomniała mi wejście do mieszkania mistrza Twardowskiego na Krzemionkach. Do małej izdebki na pierwszem piętrze prowadzą drewniane schody, po których tylko młodość uskrzydlona wspiąć się może, ewentualnie jeszcze rutynowany nauczyciel gimnastyki, zdobywca „Posu".

Pierwszy szczebel istniał podobno przed kilku laty,ale wyjął go ostrożnie, by ogrzać pokoik podczas słynnych swego czasu mrozów. Wchodzi się więc z rozpędu i sportowym susem.

Wszedłszy prawdziwym cudem do środka, zastałem artystę przy sztalugach. Właśnie malował portret. Cierpliwy model siedział w kłębach dymu papierosowego jak na łożu Prokrusta, albowiem najlżejsze poruszenie groziło katastrofą.

Na ścianach wisiały trzy portrety, z których jeden zatrzymał moją uwagę, świadczył bowiem o wybitnym talencie młodego artysty.

Wymiana nazwisk. Przerwa w pracy. Rozmowa. Siadłszy na jakimś surogacie stołeczka, pytam prosto z mostu o bieg życia, studja, dokonane prace, zamiary na przyszłość.

— Mam dwie teki Leszna, (któreby mogło i powinno zakupić miasto, przypisek Red.), szereg linorytów i litografij; wkrótce „Wici" wydadzą „Tekę drzew".

— Uważa się Pan za malarza czy grafika? — pytam po chwili.

— Jako malarz jestem portrecistą, ale właściwym moim żywiołem jest grafika.

— A którą ze swoich prac uważa Pan za najlepszą?

— Najlepszą? Najbardziej ulubioną moją pracą, tą, w ktąrą wlałem com miał najlepszego i cały zapas doświadczenia, techniki, są ilustracje do głębokiego poematu Zegadłowicza „Nad brzegami Zodjaku", wydanego przez Kuglina.

Biorę tekst do ręki, otwieram zbiór litografij i czytam ze zdumieniem, oraz podziwem —

> Baran wytrzeszcza wzrok —
> zodjakiem idzie rok —
> w płaszczu zeszytym z szmat:
> dziedzictwo wielu lat —
> Baran spoziera wbok:
> odchodzi stary rok —
> nago idzie — bez szat —:
> zagubił brzemię lat —

Czytając poemat robię następujące, chlubne dla Bogaczyka odkrycie. Głęboki poemat Zegadłowicza, najeżony refleksjami filozoficznemi, metafizyką, staje się jasny i zrozumiały dzięki nader trafnym tym ilustracjom utalentowanego grafika.

— Jakie ma Pan plany na przyszłość — pytam już z pełnym dla gospodarza szacunkiem?

— Plany? Chciałoby się wyjechać zagranicę lub bodaj do Warszawy, ale brak pieniędzy, protekcji, mecenasów.

— Musi się Pan dać poznać, trzeba wyjść z ukrycia, pokazać się światu, bo inaczej...

— Ja tego nie umiem, nie potrafię.

Cicho siedzący dotychczas model, zaproponował urządzenie wystawy malarzy i grafików w Lesznie i oto obecnie, ku chwale naszego miasta siedmiu artystów ujawniło swe talenty publicznie a między nimi Bogaczyk, który spodziewa się, że może ktoś o nim poważnie pomyśli... Ktoś pomoże w dalszej artystycznej drodze...

Daj mu Boże, zasługuje na to w całej pełni.

STANISŁAW DĄBROWSKI:

BYŁA WIELKANOC...

Koła bryczki wryły się w mokry piasek. Wyskakuję, — bardzo niedokładnie otarłem usta o policzek poczciwej okrągłej Anielki. Moje szeroko otwarte oczy stwierdzają fotograficzną dokładność zapamiętanego ostatnim razem widoku: trochę zaniedbany gazon, spękane filarki dworu, wytarte płyty stopni, klamka u drzwi z głową sfinksa, — na prawo oficyna z spróchniałym balkonem na piętrze (nie wolno wchodzić).

Mięką ścieżką, między czarnemi od wilgoci kasztanami idę witać wigród; na bucikach niosę już ciężkie papucie z gęstego lepkiego jak powidło błota. W ogrodzie pusto, smutno, cicho sterczą nudne, mokre, bezlistne drzewa. Dudnią moje kroki po mostku, na dole ślamazarnie szepleni czarniawa woda. Mijam strzyżony szpaler grabiny i już jestem na *moim* pagórku: pęknięta ława kamienna i szara kamienna stojąca na cokole Diana, palce dawno odbite nie dosięgają kołczana na plecach, brudno zielone wysepki mchu wspinają się po nodze, wyległy na krótką rozwianą w biegu koszulinę. Bogini jest szara, a wkoło cały pagórek drga żywemi fiołkami, — patrzę długo, aż potem w zamkniętych oczach podpływają drobne fiołkowe plamki. — Czuć mokry oddech ziemi, jakieś wilgotne szelesty pod staremi opuchłemi od wody brunatnemi liśćmi. Patrzę długo w szarą Dianę na tle fiołkowego gobelinu...

Cicho powoli schodzę zboczem, brzydkiem impertynencką łachą gęstych jaskrawych kwiatów: złoci żółtej. Na dole śpiący staw, brudny. smutny, — na straży sterczą połamane, pogniecione kulasy szuwarów. Ten staw podczas letnich wakacji to moja dżungla, oddawna nieczyszczony, głośny wytrwałem kumkaniem żab. Tu w szuwarach zastrzeliłem przed rokiem moją pierwszą kurkę wodną!

Dalej za stawem gmatwanina brudnego żywopłotu, rudo zielonkawe puste pola, stoją rzędem zmartwiałe, wielkotygodniowe chałupy. Miedzą idzie pomału, dostojnie Antek od starej Ignacowej, — ubrany za „turka", idzie na zmianę warty do Grobu w kościele. Na głowie ma papierowe, czerwone ułańskie czoło, na piersiach skrzyżowane białe pasy, na lewem biodrze zawadza mu zadługa drewniana szabla. Patrzy w moją stronę, — jestem pewny że mnie poznał, bo zwolnił kroku, chce mi swym widokiem jak najdłużej imponować. Pamięta jak go na wakacjach utytłałem w kałuży!

Józef Kołodziejczyk:

Rozkosz istnienia

W niechlujnym, dusznym zaułku,
w zmurszałej, wilgotnej wnęce —
wkulona w kąt kupa łachmanów
wyciąga trzęsące ręce.

Z nawpół przegniłej twarzy
oczu czerwone otoki
żebrzą o litość przechodnia,
budząc wstręt tylko głęboki.

To już padlina ludzka,
ale gdy w środek spojrzycie —
tam — pod cuchnącym łachmanem
bladą się iskrą tli — życie!

Bezzębne szczęki coś mamlą,
wionąc odorem rozkładu
(— kiedyś ktoś rozkosz w nich sączył
i wielbił je serenadą —)

Sflaczałe i brudne piersi
zwisają w strzępach koszuli
(— a ktoś je kiedyś całował,
a ktoś je w uściskach tulił).

Żebraczka, jak kupa błota
w oślizgłą wchłaśnięta wnękę
wyciąga do mnie z łachmanów
zżółkniętą półtrupa rękę.

„O biedne wspomnienie człowieka!
przychodzę tu w miłosierdziu,
by cię obdarzyć wspaniale
wszystkokończącą śmiercią".

Czerwone ślepia strach zjarzył,
łachmanem wstrząsnęły dreszcze —
z bezzębnych warg spełzły słowa:
Litości! Ja chcę żyć jeszcze!!

Już zniknął za olszyną! Cisza taka ciężka że słyszę łomot swego serca, a szczęście nagłego spokoju dech zapiera. Wiem że to już ostatnie minuty samotności, że za chwilę trzeba będzie się nudzić nad wspólną kawą w salonie pośród najbliższych a tak bardzo mi w tej chwili niepotrzebnych. Chcę mieć jeszcze jaknajwięcej chwil swoich, własnych. Boję się odwrócić oczy od pól i kobaltowych wzgórz. Mam lat szesnaście i cenię każdą minutę szczęścia.

Wiatr mi przyniósł jakiś słodki znany zapach, ten który parę dni tylko trwa na wiosnę. Wiem! Tylko rękę trzeba wyciągnąć aby przychylić gałąź: na bezlistnych łodygach dygocą małe różowe gwiazdki: Daphne mezereum! Mówię głośno bo nazwa brzmi słodko jak ukochane imię.

Tuż za mną na ścieżce pęka krucha gałązka, czuję jak na ramieniu kładzie się mała łapka i słyszę przytłumiony głos Janki: Nawet się nie przywitasz? Tak czekałam na ciebie! Będziemy razem malować pisanki! Chodź!

Stoi przedemną, z jasnymi pełechami miękich włosów i fiołkowymi oczyma. Tę samą nieśmiałą linję szyji i ramion widziałem przed chwilą u Diany! Trzymając się za ręce idziemy powoli do domu. Nic nie mówimy, nie patrzę na nią, czuję ostrą woń jej baraniego korzuszka. Przez taras dochodzimy do drzwi, długo obijam błoto z bucików, wyszczerbionym nożem odrywam lepkie czarne pacyny, wtem czuję na zgiętych plecach nagłe uderzenie łap, a na uchu ciepły język Bazy starego emerytowanego owczarka. Kudłaty towarzysz wakacyjny wita mnie serdecznie!

Idziemy teraz we troje mrocznym kurytarzem, na ścianach wiszą rzędem te same stare sztychy rzymskich budowli. Jeszcze jedne drzwi mijam i jestem w jej pokoiku. Wszystko jak było: firaneczki, komódka z bronzami, wazoniki porcelanowe, rocznik Kłosów z r. 1873, na ścianiach kolorowe francuskie litografje: dzieci z psem i dzieci z książkami. Biały kaflowy piec w niszy zwieńczony białym greckim hełmem, przez otwarte drzwiczki złoci się gorący płomień. W ciepłym pokoju snuje się zapach przygotowanego do malowania pisanek wosku, zapach kościelny. Serce mam oblane pachnącem jak miód woskiem, — tak mi dobrze znów, jak przed chwilą było nad stawem.

Patrzę w oczy Janki, w mroku pokoju już zciemniały ich fiolety, — są teraz granatowe!

Dnie które mam tu spędzić stają mi się nagle ułamkami sekund! Mam lat szesnaście!

HENRYK KUMINEK:

ZJAZD I PROMIENIOWANIE

Promieniotwórstwo jest jednem z najciekawszych zjawisk, których tajemnice ludzie zdołali wydrzeć przyrodzie. Wydrzeć, ujarzmić, przyswoić, a potem nawet naśladować.

Ciało promieniotwórcze, o którem tu chcę mówić, należy do najdziwniejszych i najbardziej skomplikowanych. *Pałac Działyńskich promieniuje.* Promieniuje na Poznań i chce promieniować na całą Wielkopolskę. Promieniuje kulturę, rewolucyjnemi — jak na obecną antykulturalną konjunkturę — ideami. Promieniuje świetną przeszłością, wygrzebaną niespodziewanie z gruzów walącej się kolumnowej sali. Promieniuje krzepnącą i nabierającą ostatecznego wyrazu teraźniejszością.

O tem promieniowaniu, które ma już cechy jakiegoś mistycznego posłannictwa, słyszę ciągle na pierwszym Zjeździe Członków-Korespondentów Zrzeszenia Związków Artystycznych i Kulturalnych.

Poznań, Pałac Działyńskich, dzień czwarty maja 1935 roku — te dane, statystyczne raczej, trzeba koniecznie zapamiętać. Wyczuwa się w powietrzu bezapelacyjne stwierdzenie, że jest to data historyczna i zdecydowanie zwrotna dla kultury wielkopolskiej. Mury Pałacu Działyńskich przesycone są fluidem. Tym właśnie fluidem, który ma promieniować. Dużo trzeba oporu wewnętrznego, żeby się nie dostać w orbitę jego niewytłumaczalnych wpływów. Ze mi się udało pozostać na stanowisku objektywnej obserwacji, tłumaczę sobie poprostu: jestem tu pierwszy raz i nie w atmosferze tych gorących czwartków, o których cuda opowiadają, ale tylko w wygodą tchnących, przestronnych lokalach klubowych, niemających w sobie nic ze świątyni jakiejś tajemniczej siły kulturalnej. Biuro jak każde biuro, czytelnia, nowoczesne meble, bufet — nie, to wszystko nie wpaja jeszcze we mnie wiary w możliwości promieniotwórcze tego ciała, które jako forma i treść nosi już ustaloną nazwę Pałacu Działyńskich.

* *
*

Uroczyste otwarcie Zjazdu się opóźnia. Bardzo uroczyste będzie to otwarcie, bo jeszcze wnoszą zakurzoną zieleń oleandrów, stawiając ją przy pulpicie.

Sala się zapełnia. Zapełnia się w dwóch warstwach. Od pierwszych rzędów, gdzie głośno i pewnie zajmują miejsca ci, co ten Pałac w dzisiejszej jego poza architektonicznej wartości stworzyli. Profesorowie Uniwersytetu, artyści wszelkiego rodzaju działacze kulturalni — to *Poznań, ci co mają promieniować.* A od ostatnich rzędów zbija się, rośnie grupka tych, co mają te promienie chłonąć i współpracować przy ich przyswajaniu przez t. zw. „prowincję". Właśnie *członkowie-korespondenci, dla których ten zjazd został zwołany.* Każdy powiat i każde miasto wielkopolskie kogoś przysłało. Już się o to postarało biuro Zrzeszenia Związków Artystycznych i Kulturalnych i sprzymierzeni wolą czynników decydujących z tem biurem, które jest wartością całkowicie uchwytną i niemal potęgą, — panowie starostowie.

Członkowie korespondenci powoli przyzwyczajają się do nowej rzeczywistości. Przecież u nich na prowincji sprawy kulturalne jeszcze tak wysoko nie zaawansowały w hierarchji funkcyj społecznych, aby im przypisywać tyle znaczenia i powszechnego szacunku. A tymczasem w Poznaniu to już zostało osiągnięte.

Zrzeszenie wytworzyło w mieście atmosferę, w której może kwitnąć sztuka i kultura. Zrzeszenie objęło sobą wszystkie istniejące organizacje i instytucje, powołane do pracy kulturalnej i objęło również wszystkie dziedziny życia artystycznego. To był jednak pierwszy etap pracy, który już został szczęśliwie dokonany. Obecnie Zrzeszenie wstępuje w nową fazę działalności, której celem jest *nawiązanie porozumienia z ośrodkami prowincjonalnemi i ożywienie nurtu życia kulturalnego na terenie całej Wielkopolski.* — O tem właśnie mówi prezes Zrzeszenia Związków Artystycznych i Kulturalnych w Poznaniu, dr. Zenon Kosidowski, otwierając pierwszy zjazd członków korespondentów.

A członkowie-korespondenci, którzy ze wszystkich miast i miasteczek Wielkopolski karnie przybyli, słuchają uważnie, bo oto przecież oni mają stać się najpoważniejszemi podstawami tej akcji promieniotwórczej Pałacu Działyńskich. Ze akcja ta nie jest tylko fikcją, stworzoną przez pięknoduchów, świadczy, jak się na nią zapatrują i co mówią przedstawiciele świata urzędowego. Rośnie w członkach-korespondentach serce i wiara we własną misję, kiedy wojewoda poznański Artur Maruszewski mówi o znaczeniu, jakie przypisuje Zjazdowi:

Ze względu na ciężką sytuację w jakiej wraz z całym światem

znalazł się nasz kraj, rzucono hasło zorganizowania życia na niższym poziomie. Hasło to jednak odnosi się tylko do życia materjalnego, gdyż dla zachowania równowagi *trzeba jednocześnie dźwigać poziom życia duchowego i kulturalnego.* Pan wojewoda wyraża radość, że praca Zrzeszenia ogniskująca się w Pałacu Działyńskich wychodzi poza mury Poznania. Zrzeszenie musi powiązać dotychczasowe wysiłki w harmonijną całość, a wtedy potrzeby kulturalne i konieczność ich zaspakajania zostaną wszędzie należycie docenione. Siły i możliwością są, tylko trzeba je wyzwolić i skoordynować. *Właśnie Wielkopolska jest powołana, aby przodować w pracy kulturalnej, dla zmontowania której ma doskonałe warunki.* I choć dużo jest do zrobienia i dużo do odrobienia, nie należy wątpić, że zbiorowy wysiłek pozwoli zrealizować tezę powszechności życia kulturalnego. W zjeździe widzi pan wojewoda duży krok na drodze do pogłębienia pracy kulturalnej, uczynienia jej zjawiskiem masowem, i dlatego w tej pracy życzy powodzenia, przyrzekając zarazem swoje poparcie.

Tak mówi pan wojewoda, w podobny ton uderzają przedstawiciele wszystkich władz, reprezentowanych na zjeździe. I dlatego nie razi optymizm, z jakim odnoszą się do przyszłych rezultatów wielkiego zamierzenia reprezentanci Zrzeszenia. — Mają wielkie nadzieje i przy współpracy członków - korespondentów chcą osiągnąć bardzo dużo.

O ile w czasie uroczystego otwarcia grupa poznańska i grupa prowincjonalna w dwóch, oddzielonych rzędami pustych krzeseł, warstwach dawały poznać, że różne reprezentują światy, — o tyle w późniejszych obradach łączność została nawiązana całkowicie. Może przyczynił się do tego wspólny obiad, a może *poczucie prawdziwej wspólnoty celów i dążeń.* Raczej to drugie. Bo, jakbyśmy się zapatrywali na możność oddziaływania na życie artystyczne i kulturalne przy pomocy instancyj urzędowych. W każdym razie jest rzeczą oczywistą, że każdy sposób jest dobry, który prowadzi do wyrwania sztuki i kultury, zwłaszcza na prowincji, z objęć niszczącego wszystkie wysiłki i porywy bezwładu i marazmu. I choć zdarzyć się może, że powołani „z urzędu" członkowie - korespondenci nie będą mogli albo nie będą chcieli dać z siebie tyle, ile trzeba, aby zmienić dzisiejszą sytuację, to jednak niektórzy *wytrawni i w pracy kulturalnej zaprawieni działacze, którzy się pośród nich znaleźli gwarantują, że coś da się na tym ważnym odcinku zrobić.*

Zjazd pracował owocnie. Przedmiotem jego obrad było ustalenie ogólnych wytycznych pracy w terenie, która ma być podjęta w najbliższym, jesiennym sezonie kulturalnym. O tem mówiły referaty i to właśnie roztrząsała poważna dyskusja. Ustalono zadania i kompetencje członków-korespondentów. Powołano ich we wszystkich miastach powiatowych i oni mają być łącznikami między Pałacem Działyńskich a ośrodkami prowincjonalnemi. *Zadaniem członków-korespondentów jest dostarczanie systematycznych informacyj o życiu kulturalnem i zapotrzebowaniach w tej dziedzinie oraz przygotowanie terenu dla urządzania imprez, których program i wykonawców ustala komisja artystyczno-literacka Zrzeszenia.* Już wkrótce Zrzeszenie wyśle do ośrodków prowincjonalnych prelegentów, urządzać będzie odczyty, wieczory dyskusyjne, wieczory autorskie, wystawy okrężne i koncerty. Akcja Zrzeszenia ma chwilowo na celu obudzenie życia kulturalnego wśród inteligencji, dlatego *nie* obejmuje pracy oświatowej, pozostawiając ją powszechnym wykładom uniwersyteckim i Towarzystwu Czytelni Ludowych.

Zjazd pracował owocnie. Członkowie - korespondenci słuchali, co przedstawiciele Poznania mówili o swoich dobrych chęciach, i nawzajem — sami mówili o słabościach i bolączkach życia kulturalnego w mniejszych środowiskach i o trudnościach, z jakiemi trzeba na każdym kroku walczyć.

Wyjechali pokrzepieni nadzieją, że może będzie lepiej, zaopatrzeni w legitymacje i w poczucie współdziałania w promieniotwórczej misji Pałacu Działyńskich.

LISTY Z REGJONÓW

Wystawa grupy malarzy artystów w Lesznie

Po długiem milczeniu zdobyło się kresowe Leszno na imprezę artystyczną wysokiej klasy, pozostawiając je odrazu w rzędzie tych ośrodków regjonalnych, które znalazły swój własny niezależny wyraz. Wystawa grupy malarzy artystów w Lesznie, urządzona przy moralnem poparciu instruktora oświaty pozaszkolnej p. Walczaka, stanowi dla miasta kresowego zdarzenie niecodzienne, a wyjątkowo wysoki poziom jak na wystawę na dalekiej prowincji, daje zapewnienie o kulturalności przedsięwziętego ruchu w mieście.

Ballarin wystawił te same prace, które niedawno oglądaliśmy w IKS-ie, niezmiernie ciekawe kompozycje, oraz kilka prac ilustrujących etapowe dojście do dzisiejszego wyrazu i jego zagadkowego dla przeciętnego widza i konsumenta linearyzmu. Często w osiągnięciu wyrazu deformuje postać czy pejsaż (tło) od wewnątrz i zewnątrz, osiągając wyraz dziwnego zagadnienia istnienia. Ballarin przedstawia retrospektywny rzut swoich ostatnich rzeczy, więc w kolejności „Głowę górala" z roku 1932, płasko traktowany „Portret żony artysty" i „Dzieci artysty", następnie już ostatnie kompozycje o zdecydowanym wyrazie, jak „Madonna II" (uczuciowość) „Madonna I" (intelektualizm) i „Św. Franciszek" (zagadnienie świętości). Zagadnienie kolorów traktuje artysta dyskretnie, wychodząc od barw czystych („U studni") poprzez subtelny koloryt do formy, w dążeniu do wyrażania osobowości i życia duchowego. Humanizacja sztuki jest u Ballarina osiągnięta zgodnie z ogólnem dążeniem do wyrażania wartości.

Miłą niespodziankę sprawił Romuald Bogaczyk, znany już jako bardzo zdolny grafik Wystawił pierwszy raz swoje oleje wysokiej wartości, w których osiąga założenia psychicznej strony portretu. Bogaczyk w portrecie pracuje nad wydobyciem syntezy charakteru, wgłębiając się umiejętnie w sferę wartości psychicznych osoby. Będzie raczej odrzucał niewolnicze podobieństwo, poświęcając je na rzecz odkrycia istoty człowieka. Natężenie kolorystyczne uzyskuje przez tonowanie kolorów zimnych, akcentując efekty twarzy i rąk w kolorze ciepłym (portret p. insp. W.). W portrecie tym wydobywa zarazem charakter poprzez wnikliwe studjum ręki. Operuje przytem gamą spokojną w bogatem stopniowaniu i ciekawem łączeniu barw ograniczonej skali. Dzięki założeniom graficznym swej sztuki wnikliwiej wydobywa kontrasty. W portrecie p. K. daje ubogie tło dla głowy, która zdaje się występować swoją bryłowatością z ujęcia plastycznego. W portrecie p. por B. następuje wybuch światła, przytem wszędzie zwraca uwagę opracowaniu oczu, które stanowią dla artysty legitymację intelektualną osoby

Lewczenko wystawia szereg akwarel. Wszystkie prace cechuje poprawne opanowanie rysunku, który wysuwa się na pierwszy plan, światłocienia i perspektywy. Zdecydowanym w założeniu jest „Krajobraz" i „Klasztor w Osiecznie", w którym występuje wyraźne podejście artysty do bryłowatości przedmiotów, oddanych plastycznie. Kolorystyczne założenia Lewczenki i wyczucie barw należałoby zastosować w technice olejnej.

Nowicki Leon daje bardzo ciekawy w ujęciu „Akt", traktowany w przebrzmiałym już impresjonizmie. Poza tem z rozmachem namalowany szkic muzykanta, którego jednak cechują pewne rażące niezharmonizowane z całością partje. Są to rzeczy tem ciekawsze, że znalazły się w sąsiedztwie takich obrazów jak „Pajac", „Konwalje",„Stokrotki", które niewiadomo jak mogły znaleźć się na wystawie o poważnym poziomie.

Opanowanie techniki akwarelowej uderza szczególnie u dobrze zapowiadającego się młodego artysty Marjana Wasielewskiego. Swietne „Drzewa II" traktuje syntetycznie po intelektualnem przepracowaniu wrażeń zmysłowych. Tak samo intelektualnie traktowana natura więcej jednak wypracowana jest w „Drzewach I" i „Jesieni". Ciekawa w wyrazie twarzy „Lektura" oraz charakterystycznie stonowany „Typ z Podkarpacia". Architekturę traktuje artysta również syntetycznie, odrzucając zbyteczne szczegóły. („Ratusz w Lesznie"). Indywidualność Wasielewskiego rokuje w swoim rozwoju najlepszą przyszłość.

Mimo dobrych założeń w kolorycie Popławskiej Kornelji trudno zorjentować się w jej fazie rozwoju. Wystawia bowiem zbyt mało. W ciepłym kolorze dobrze

stonowana jest „Głowa", chociaż rysunek słabiej potraktowany. „Martwa natura" posiada poczucie barw kontrastujących zimnych i ciepłych.

Ciekawie przedstawia się dorobek graficzny. Akwaforta i akwatinta Błotnickiej-Kumorkowej odznacza się pewnym smakiem poczucia stylowości, wyczuciem architektoniki całości przy bardzo delikatnem stosowaniu linji „Zaułek" cechuje wyczucie układu brył oraz rytmika całości. Wielką subtelność linji wykazuje akwatinta. „Ilustracja II" do „Moje pierwsze boje". Płynna linja stylizowanych drzew zdaje się zdążać kierunkowo na płaszczyźnie razem z przedstawionem zagadnieniem ilustracyjnem. Intensywność toniki akwatinty jest z wielkiem umiarkowaniem traktowana.

Wreszcie cała wystawiona graficzna twórczość Romualda Bogaczyka, którego istotę wypowiadania się stanowi sztuka czarno-biała. Tekę linorytów „Leszno" cechuje prawdziwie młodzieńcza siła ekspresji. Operuje w tych linorytach wyłącznie plamą czarno-białą. Wystawia tylko jeden motyw z Leszna (nr. 45). Teka litografij „Leszno" przedstawia zagadnienie wyłącznego zainteresowania tonacją płaszczyzny w ujęciu motywów architektonicznych. W okresie tworzenia tej teki autora szczególnie pochłaniała ziarnistość kamienia tak, że pewne zagadnienia ujmuje tylko jako efekty cienia i półtonów w szaro-srebrnej tonacji. Uwagę zwraca szczególnie ciekawe ujęcie bryły w farze leszczyńskiej. Na wysoki poziom swojej twórczości wzniósł się artysta w ilustracjach do „Zodjaku". Konsekwentnie syntetyzuje w nich treść wiersza Zegadłowicza, przerabiając je na wspaniałe, plastycznie ujęte, abstrakcyjne wizje. „Ilustracja II" to syntetyczny problem ziemi, człowieka i zodjaku. Technicznie z artyzmem zastosowuje linję falistą, otrzymując efekty graficzne oparte na rytmie układów. W ten rytm wciągnięta jest stylistycznie opracowana sylweta człowieka.

Tym samym poziomem abstrakcyjnym odznacza się „Ilustracja I" do Kasprowiczowskiego hymnu „Moja pieśn wieczorna", drzeworyt o linji stylizowanej. Bardzo ciekawą techniką kreskową opracowana jest „Madonna II", gdzie artysta w drzeworycie otrzymuje na wzór litografji tonację srebrną, opanowując deskę z namiętnością i temperamentem grafika. „Głowa chłopca" daje graficzną syntezę chłopięctwa z zwrotem ku realizmowi, choć pewne fragmenty artysta stylizuje. Poza tem Bogaczyk wystawia jeszcze rysunki portretowe „Główki" i portret p. Z. M. z racji swej techniki przynależne do grafiki, o linji kreślonej z swobodą ale opanowaniem nie pozbawionej romantyzmu.

Przedsięwzięty wysiłek artystów z otwarcia wystawy został w całości osiągnięty, a swoją użyteczność socjalną artyści konkretnie przedstawili mieszkańcom długo uśpionego miasta.

Józef Brzeziński.

A. SZYPERSKI:

ROMANS O WIELKOPOLSCE

„Bibljografję historji Wielkopolski" czyta się jak powieść. Jak w odcinkach feljetonowych tak w poszczególnych zeszytach pracowitego dzieła dyrektora Bibljoteki Raczyńskich, dr. A. Wojtkowskiego przesuwają się przed naszemi oczyma barwne, żywe, zwięzłe, pełne treści migawki z bliższej i dalszej przeszłości. Któżby pomyślał, że bibljografja czyli coś w rodzaju spisu rzeczy może być tak ciekawa? Ależ bo to spis — stenogram prawdziwy o naszych najbliższych, telegraficznym stylem pisana gawęda o prymasach i karmazynach, senatorach, hreczkosiejach, lekko i ciężko uczonych, o społecznikach, o domownikach, monarchistach i socjalistach, o prababkach „kolosalnych" wzorach cnoty, o starych i młodych — lecz nie bylejakich.

Autor — dr. Wojtkowski — jest przecież gawędziarzem wysokiej klasy. Prawi tylko o tych, którzy coś znaczyli w Wielkopolsce, a jeśli umieszcza też na naszem podwórzu różnych przybłędów, Niemców, żydów i innych obieżysasów, swoich i obcych — to musieli się oni dać czemś „we znaki" Wielkopolanom i ziemi wielkopolskiej. Czemś dobrem lub złem. Pozycja każdego jest usprawiedliwiona i przefiltrowana. Już o nim gdzieś pisano lub wzmiankowano, dyskatowano, już go najlepszy anatom — historja może krajała, zwierciadło doń przystawiała. Tylko te wszystkie „gadki—plotki", wyszperać, wypisać, prawdę od poezji odróżnić, przemyśleć, uporządkować — to robota nielada. A potem jeszcze wydrukować czysto, przejrzyście, bez błędów i... tanio!

Ukazało się dotąd pięć zeszytów tej Bibljografji, 6326 pozycjami, a będzie razem zeszytów dwanaście. Za dziadowską cenę 5 złotych miesięcznie — przez jeden krótki rok — masz czytelniku prawdziwy klejnocik w bibljotece domowej.

A dla kogoż to arcyciekawe dzieło? Dla wszystkich? Adwokatów i lekarzy, proboszczów i aptekarzy, kupców, (szanujący się posesjonaci — ziemianie już księgę prenumerują), dla wszelkich bibljotek, powszechnych (energiczny ks. Milik podobno setkę dla T.C.L. zamówił), towarzystw, organizacyj itd., itd. No a trudno sobie wyobrazić historyka, pisarczyka regjonalnego czy redaktora, któryby nie znał „Bibljografji historji Wielkopolski". Ośmieszyłby się na całe życie. A różni instruktorzy oświaty? Nawet ci nie pozostaną w tyle.

Każdy pracownik w Bibljografji znajdzie siebie choć w cytacie, a przynajmniej swego znajomego, stryja, wuja, dziadka, babkę lub kuzyna, czy... wielkiego uczonego lub sławnego poetę o... takiemże nazwisku. Zapewne to... krewny. Może i ja do tej rodziny należę? Każdy tak pomyśleć musi. A gdy już ktoś z nas kiedyś coś tam piórem spłodził, już w Bibljografji na laurach regjonalnej chwały spoczywa. Zobaczcie Wiciarze wrzesińscy, kronikarze gostyńscy, obywatele leszczyńscy, ostrowscy, pisarczyki gnieźnieńscy, działacze śremscy, czarnkowscy, społecznicy szamotulscy, poeci poznańscy, inowrocławscy, kosowscy (choćbyście do Warszawy tchórzliwie uciekli) itd. itd. wszystkich Was czujny detektyw-historyk odnalazł i w księgach pousadzał! Tam wasze prace przywołane jako świadków przyczynki. Turwidy i żydy, hernesy i modesy, Taśtaki (Banaszak) i Kociewiaki, mazury i bambry, Borowiaki i Chazaki (Bronikowski), Poznaniacy i Pleszewiacy (Jezierski) — wszyscy do Bibljografji wstąpili i zaczynają świecić potomnym jak gwiazdy na niebie sławy.

Non omnis moriar. — Zyjesz w „Bibljografji historji Wielkopolski"!! Zobacz tylko czytelniku!! Wystarczy napisać do dr. Staszewskiego, Poznań, Archiwum państwowe... a księgi same do domu twego trafią.

KRONIKA

Pięćdziesiąty zeszyt Wici Wielkopolskich. W roku bieżącym ukaże się pięćdziesiąty zeszyt naszego miesięcznika. Wydawnictwo „Wici W." pragnie, aby zeszyt ten stanowił przegląd współczesnych literatów i plastyków wielkopolskich. Zeszyt ukaże się w rozmiarach znacznie powiększonych i redakcja „Wici W." zwraca się już dziś do wszystkich swoich współpracowników oraz do wszystkich literatów i grafików, plastyków pracujących na terenie Wielkopolski z prośbą, by do wymienionego zeszytu nadesłać zechcieli swe prace (wiersze, artykuły, feljetony, fragmenty większych całości, drzeworyty, linoryty, klisze itp.) na ręce sekretarjatu redakcji (Września, Poznańska 6) lub pod adresem Nacz. Redaktora (Bydgoszcz, Staszica 4).

Cena: pojedyńczy numer 40 gr. Prenumerata wprost z administracji z przesyłką kwartalnie 1,50 zł, półrocznie 3,00 zł, całorocznie 6,00 zł. Na poczcie tylko kwartalnie zł 1,05.

Do nabycia we wszystkich kioskach „Ruchu", we wszystkich kioskach gazetowych Poznania i Bydgoszczy, we wszystkich większych księgarniach Wielkopolski. - W Warszawie: Księg. Gustawa Szylinga, ul. Szpitalna 10. - W Krakowie: Księg. D. E. Friedlein.

Redakcja: Poznań, ul. Wszystkich Świętych 3. — Przedstawiciel redakcji prof. Wiktor Fabian.
Przedstawiciel redakcji na Warszawę: Dr. St. Helsztyński, ul. Grottgera 19 m. 13 — Tel. 8.45.48.
Korespondencje kierować należy do Administracji i sekretarjatu redakcji: Września, ul. Poznańska 6.

Nakładem i drukiem A. Prądzyńskiego we Wrześni. Konto P. K. O. Poznań № 200.057.